ROZMAITOŚCI.

Dnia 15. Marca. N^er^ 11. Roku 1854.

Rozbicie okrętu.

(Powiastka z niemieckiego.)

(Dokończenie.)

Pewnego wieczora niemając żadnego zatrudnienia, przyszedłem zaraz po obiedzie z odwiedzinami do Ketty. Służący powiedział mi, że rodzina wyszła za sprawunkami do miasta, ale że wkrótce powróci do domu. Nie raz pragnąłem być sam na sam z Kettą, ale teraz biło me serce tak gwałownie, że ledwie mówić zdołałem. I ona była także zmieszana.

— „Bracie," — rzekła wreszcie po krótkiém milczeniu — „cieszę się, że mogę raz przecie pomówić z tobą bez świadków; ja zamyślam wkrótce dom ten opuścić."

— „Opuścić, Ketty?" — zawołałem z niemałém przerażeniem. — „Na miłość Boga, gdzież chcesz się udać?"

— „Już zanadto długo nadużywałam twéj dobroci, — "

— „Ketty, niewspominaj o tém nigdy więcéj, jeźli niechcesz ranić mego serca. Tyś była mojém największém, jedyném szczęściem na świecie!"

Jéj oczy zapłynęły łzami, ale wnet przybrała pewien rodzaj spokojności, jak gdyby umysł jéj był już poprzednio do tego przygotowany.

— „Ja czuję całą wielkość twojéj dobroci, mój drogi bracie; ale byłabym niegodną i saméj siebie i twojéj szlachetności, gdybym dłużéj miała ci być ciężarem, kiedy dzięki twéj szczodrobliwości jestem teraz w stanie pracować sama na siebie. Dla żeńskiego zakładu naukowego w pobliżu miasta szukają teraz nauczycielki muzyki i rysunków, a na zalecenie z Troy spodziéwam się z pewnością otrzymać to miejsce; w ostatnich dwóch latach pracowałam niezmordowanie nad tém, aby się usposobić dla takiéj posady, i zdaje mi się, że usiłowania moje niebyły daremne."

Chciałem jéj kilka razy przerwać, ale mówiła z taką rezygnacyą, żem się niemógł odważyć na to. Gdy skończyła, zbliżyłem się do niéj, ująłem jéj rękę i rzekłem: „Moja droga Ketty, ja miałem nadzieję, że się już nigdy nierozłączymy." Na te słowa spuściła oczy, jak gdyby pokonana własnemi uczuciami.

— „Ty mnie nieopuścisz teraz;" — mówiłem daléj z zapałem — „mnie się

zdaje, że same nieba połączyły już nasze losy, a serce moje zajęte tobą tak wyłącznie, że bez ciebie byłby dla mnie pustynią świat cały. "

Ketty odwróciła się napół odemnie zostawiając mi jednak rękę, która z drzeniem odwzajemniała moje uściśnienia.

— „Niepotrzebuję ci mówić tego, że cię kocham nad życie: Czy chcesz być moją nazawsze?"

— „Nie," — wyjękła łkając boleśnie — „ja niechcę, ja niemogę."

Moje serce było zanadto przepełnione i niemogłem powstrzymać się od wyrzutu. „Ketty" — rzekłem — „domyślam się, że serce twoje dało innemu pierwszeństwo przedemną; ale ja cię zanadto kocham, abym mógł widzieć cię w objęciach innego, i dlatego muszę cię opuścić, musimy się rozłączyć."

Ketty zadrzała widocznie. „Więc ty mnie w istocie kochasz?" — rzekła — „Więc uczucie twoje nie jest tylko litością nad biédną siérotą?"

— „Dałby Bóg, żeby tak być mogło" — odrzekłem.

— „Ha — tom w istocie szczęśliwa!" — zawołała i rzuciła mi się na szyję.

Zmiana uczuć moich była tak nagła, że przez chwilę niemogłem wymówić ani słowa. Ale wnet nastąpiły wyznania. Ketty opowiadała mi, że nawet w szkole były jéj myśli tylko mną zajęte, że później nabywając coraz więcéj doświadczenia i rozwagi obawiała się, aby dziecinne uczucia jéj niezmieniły się w silniejszą namiętność, co ją wielce smuciło; i że raz w szkole, gdy ją doszła fałszywa wieść o mojém ożenieniu, zemdlała kilkakrotnie, a nikt nie wiedział dlaczego. Podczas pobytu w Nowym Yorku — mówiła — pochlebiała sobie często, że zrobiła wrażenie na mnie, ale przytém dręczyła ją obawa, że ja wyświadczywszy już dla niéj tyle z dobroci tylko, nie mógłbym jeszcze daléj posunąć moje uczucie obowiązku, i toteż było przyczyną, że w piérwszéj chwili, chociaż wyznanie méj miłości niezmiernie ją uradowało, odrzuciła wbrew własnéj woli moją ofiarę.

Wesele nasze odbyło się w krótkim czasie, bo ani miałem się kogo radzić i niepotrzebowałem robić wiele przygotowań; a chociaż nie byłem wcale bogaty, mogliśmy przecież prowadzić dom przyzwoity.

Trzy lata upłynęły od tego czasu, gdy pewnego poranku spostrzegłem w jakiejś gazecie angielskiéj zapytanie o niejakiego Wiliama Malone, jego żonę i córkę, którzy przed dziewięciu laty mieli odpłynąć do Nowéj Walii południowéj lub do Zjednoczonych Stanów Ameryki północnéj. Chociaż nieprzypominałem sobie żadnych takich osób, imię to jednak zdawało mi się być znajome, a wkońcu przyszło mi na myśl, że widziałem je na jednéj z owych dwóch książek, które ojciec Ketty pożyczył mi na okręcie, a które przy opuszczaniu tonącego okrętu zatrzymałem w kieszeni. Wyszukałem zaraz tę książkę, i w istocie znalazłem na niéj imię: „Wiliam Malone" poczęści zatarte; potem przeglądnąłem także drugą książkę, któréj przedtém nigdy nieotwiérałem,

i odkryłem na niéj dość wyraźnie jeszcze imię: „Katarzyna Dormer“, chociaż i tu poznać było można, że starano się je wymazać. I gdy tak w ręku trzymałem te książki, wypadły z nich na ziemię trzy małe sylwetki, na których podpisane były ołówkiem imiona: „Wiliam Malone,“ „Ketty Malone“ i „Ketty Dormer Malone.“ Ostatnia sylwetka wyobrażała małą dziéwczynkę. Uwiadomiłem zaraz moją żonę o tém odkryciu i powiedziałem jéj, że mam nadzieję odszukać jéj rodzinę; ona zaś pokazała mi wtedy małą złotą puszeczkę, którą zawsze na szyi nosiła, z cyframi K. D. M., wyobrażającemi zapewne początkowe litery znajdującego się na sylwetce nazwiska.

Poszukiwanie to mogło być i długie i mozolne, postanowiłem więc udać się niezwłocznie do Europy, zwłaszcza, że i nasze stosunki handlowe wymagały téj podróży. Przybywszy do Anglii udaliśmy się do Exeter, zkąd było datowane to ogłoszenie. Tu dowiedziałem się, że pewien bardzo zacny młodzian imieniem Wiliam Malone zaślubił córkę pana Dormer, majętnego właściciela dóbr, wbrew woli jéj rodziców, że potém utracił całe swe szczupłe mienie przez nieszczęśliwe spekulacye gospodarskie, a wkońcu przyciśniony niedostatkiem, opuścił Exeter z żoną i małą córeczką; ale nikt niewiedział, gdzie się udał ztamtąd. Rodzice Wiliama pomarli w krótkim czasie po wyjeździe jedynego ich syna, a w rok potém umarł także Dormer, i w ostatniéj chwili skruchy zapisał cały majątek swéj córce i jéj biédnym dzieciom. Wykonawcy testamentu ojca Wiliama Malone pozwolili mi bez trudności przeglądnąć jego papiery, a między temi znalazłem list, w którym Wiliam Malone donosił swym rodzicom, że nazajutrz odpłynie z Greenock do Nowego Yorku; — był-to ten sam dzień, w którym i ja opuściłem Europę.

Wszystkie te szczegóły przekonywały mię dostatecznie o pochodzeniu Ketty; zresztą wiele osób, które znały Wiliama, stwierdzały nadzwyczajne jéj podobieństwo do ojca. Ale na to wszystko trzeba było dowodu prawnego, aby obalić pretensye kilku dalekich krewnych, którzy mieli zamiar dobijać się wszelkiemi siłami o ten spadek

Już traciłem prawie nadzieję pomyślnego skutku, aż oto dowiedziałem się, że jakiś wierny, stary sługa, John Cradock, towarzyszył rodzinie Wiliama w podróży z Exeter, ale niepowrócił więcéj. Na tę wiadomość udałem się niezwłocznie do Greenock, aby go odszukać. Tu dowiedziałem się, że jakiś John Cradock służył przez długi czas w jednym z piérwszych hotelów tego miasta, ale przed kilką laty odpłynął do Ameryki, i tam zapewne umarł ze starości i osłabienia; a niektórzy dodawali jeszcze, że Cradock żył w największéj nędzy w Nowym Yorku. Pewien biegły prawnik, któremu powierzyłem moją sprawę, obiecywał mi wprawdzie udowodnić sądowi prawo mojéj żony, ale mimo to radził, żebym przed rozpoczęciem procesu starał się koniecznie wyszukać Johna Cradock, gdyż zapewne tylko on jeden mógł-

by udowodnić, że nazwisko Campbell było przybrane tylko.

Robiłem tedy co mogłem dla osiągnienia tego celu. Prawie we dwa miesiące po tém, jak pisałem do Ameryki, wszedł pewnego poranku do mego pokoju znany mi dobrze stary żebrak z Nowego Yorku. Zdziwiony pytam go, jaki szczególny los sprowadził go do Europy? — „Mam list od twego wspólnika panie.“ — rzekł — „który ci wszystko wyjaśni.“ List ten zawiérał uwiadomienie, że John Cradock został natychmiast wyszukany w Nowym Yorku, że wkrótce po przybyciu swém do tego miasta, złamany podagrą, żył tylko z jałmużny i odtąd nieopuszczał już Nowego Yorku, ale teraz przyjął chętnie małe wynagrodzenie zato, by powrócił do swojéj ojczyzny.

Gdym spytał starca, czy znał Wiliama Campbell, stanęły mu łzy w oczach.— „Czy go znałem!“ — zawołał. — „Cóż pan wiesz o nim?“

Wtedy prosiłem go, żeby mówił szczérze i otwarcie, ponieważ pytanie moje niepochodziło z próżnéj ciekawości.

— „Tak jest“ — mówił starzec — „widziałem go na pokładzie, gdy opuszczał swoją ojczyznę i dostałem od niego upominek, który odtąd noszę ciągle przy sobie; przy pożegnaniu prosił mię jeszcze, abym przyjął jego zégarek, ale ja wolałbym był umrzeć, niż pozbawić go téj ostatniéj kosztowności, którą jeszcze posiadał.“ Przy tych słowach wyciągnął z zanadrza małą puszkę i wyjął z niéj miniaturę na kości słoniowéj, w któréj poznałem zaraz rysy ojca Ketty.

— „A czy Campbell było jego istotne nazwisko?“

— „To niéma nic do rzeczy;“ — odrzekł starzec poważnie — „jego kryje morze, niechże i tajemnica, którą zachować mu przyrzekłem, pozostanie ukrytą nazawsze.“

W téj chwili weszła do pokoju Ketty, ale widząc nas zatrudnionych, cofnęła się natychmiast. — „Na miłość Boga“ — zawołał starzec — „kto jest ta młoda dama?“

— „Moja żona“ — odrzekłem — „a córka Wiliama Campbell.“

— „Jakto! Czyż on nieutonął z okrętem? Ja sądziłem, że wszyscy zginęli!“

— „Nie, — ojciec i matka zginęli, ale ja uratowałem córkę, którą widzieliście właśnie.“

— „Toż żyje przecież choć jedna istota jeszcze, co nosi nazwisko Malone!“ — zawołał w uniesieniu zdradzając mimowolnie swoją tajemnicę.

— „Więc Wiliam Campbell i Wiliam Malone byli jedną i tą samą osobą?„ — spytałem.

— „Tak jest“ — odrzekł spokojnie starzec. — „Przyciśniony niedostatkiem spodziéwał się Wiliam polepszyć swój los w obcym kraju, i może z fałszywéj ambicyi zmienił swe nazwisko, ażeby kiedyś, gdyby nadzieja ta go zawiodła, niedowiedzieli się o jego poniżeniu krewni, a osobliwie jego teść nieczuły. Ja odprowadzałem go do Greenock i byłbym z nim chętnie pojechał, gdyby się był stanowczo nieoparł memu życzeniu.

Nikt prócz rodziców niewiedział o jego postanowieniu, a i ci nawet nieznali nazwiska, które przybrał wtedy.“

Tak więc było już wszystko wyjaśnione i pewne, a i to, że Ketty była córką Campbella, dało się z łatwością udowodnić za pomocą kilku mych towarzyszów podróży, żyjących jeszcze w Nowym Yorku. I w istocie stało się to z taką pewnością, że krewni wyrzekli się wszelkich uroszczeń do znacznego bardzo dziedzictwa mojéj żony.

Po załatwieniu téj sprawy usunąłem się zupełnie od mego przedsiębierstwa, ale do Ameryki wróciłem i pozostanę tu do śmierci. —

STRAŻNICA MORSKA.

Trajedya w dwóch aktach, wierszem polskim z Houwalda.

Przekład p. N. H.

(Ciąg dalszy.)

Kasper.

Sprzedawszy całe swe mienie,
Połączeni nieszczęść zbiegiem
Kupiwszy domek maleńki
Osiedli nad morza brzegiem;
Bo tylko w téj tu ustroni
Choroba jego słabnieje;
Wciąż przy arfie nucąc o niéj,
Ma tę niemylną nadzieję
Iż ją tu wkrótce obaczy,
I tém swą niedolę skróci.

Hrabia. *(w uniesieniu).*

Żaden ją okręt nie wróci!
Człeku! błagam cię w rozpaczy,
Imię jego, wymów raz!?

Kasper. *(powoli z powagą).*

Jeśliś człowiek a nie głaz,
To się uzbrój całą siłą
Na żądaną wieść niemiłą,
Bo usłyszysz straszne słowo,
Które zniszczyć cię gotowo:
Ulrych Horst on się nazywa!

Hrabia.

O potęgo sprawiedliwa!
O wszechmocny w niebie Panie,
Straszne twoje ukaranie!

Kasper.

Ukorz się chrześcianinie
Poleciwszy Bogu duszę,
Bo kto mu się odda w skrusze
Z najgorszéj toni wypłynie,
Wszak dlatego żeś żałował,
Dziś was od śmierci ratował.

Hrabia.

Wszak śmierć łaską-by mi była,
Nad wszelkie rozkosze miła;
Lecz on pomocną dał rękę,
Na sroższą chroniąc mnie mękę!
On do kielicha goryczy
Kroplę po kropli wciąż liczy,
I śmierć odpycha odemnie
Na to, bym konał daremnie,
I na to — życie ocalał
Abym jak Ulrych oszalał?!

Kasper.

Człeku! ty bluźnisz nanowo,
Milcz więc — i usłysz to słowo, —
Ulrych ci dawno przebaczył.

Hrabia.

Gdzież on jest? bym go obaczył,
Wszak wszystko co tylko mam,
Chętnie mu z rozkoszą dam,

Chcę z nim czuwać, chcę mu służyć
Na kolanach, wiernie, stale,
I oka przy nim nie zmrużyć,
I nie ustawać w zapale,
Aż się zlituje nademną
Śmierć!

Kasper.

Zrób tak, ale chodź zemną,
Bo tracimy darmo czas,
A tu jeszcze oprócz was
Szukając po brzegu wszędzie
Może co ratować będzie.

Hrabia.

Człeku poczciwy, jedyny,
Dzięki ci, iż przez nadzieje
Ty chcesz uśmierzyć przyczyny
Bolu, co w mém sercu tleje.
Idź sam — ja tu zostać wolę.

Kasper.

Sam — nie, na to nie zezwolę.

Hrabia.

Idź śmiało — Próżna twa trwoga,
Cierpię, lecz się boję Boga;
Wszak gdybym zły zamiar miał,
To ze szczytu tych tu skał,
Mogłem się był w przepaść rzucić
I tak nędzne życie skrócić;
Bo choć życia tego brzemię,
Bez litości wciąż mnie gniecie,
Nim zatłoczy mnie pod ziemię
Do ostatku wytrwam przecie! —
A teraz zawołaj syna,
Nic mu zamilczéć nie mogę;
I do ojca wskaż nam drogę
Bo w nim nadzieja jedyna.

(Kasper odchodzi).

Scena 6.

Hrabia. *(sam).*

Postawiłeś mnie tu Panie
Na twój sąd, na rusztowanie!
Więc z skruchą w pokorze stoję;
Kocham cię — ale się boję.
Na tém miejscu, gdzie przed laty
Stałem zdobyczą bogaty,
Dosięgnął mnie kary miecz!
Wieczna ci niech będzie chwała,
Żeś Matyldę wziął ze świata,
Nim-że obaczyć zdołała,
W mężu swym obraz waryata;
Mnie więc mieczem kary siecz; —

(po chwili w któréj stoi zadumany).

Precz ztąd — Pójdę na skał szczyty,
Bo tu straszno — ciemno tak,
Ujrzyć słońca blask rozwity,
Jako boskiéj łaski znak;
Tam upadłszy na kolana
Modlić się będę do Pana. —

(odchodzi na skałę).

Scena 7.

Odmiana. (Widok na morze — po jednéj stronie skały — Matyldy ciało leży na brzegu. Ulrych klęczy oparty o arfę).

Ulrych. *(po krótkiém milczeniu).*

Cicho — o cicho na Boga
Niebudźcie, niech spi ma droga!
Morze, uspokój twą wodę
I ty zachodni mój wietrze
Dmiéj łagodniéj przez powietrze;
Patrzcie, zwrócono mi szkodę,
Lecz spi, bo jeszcze zbyt rano,
A musi być zmordowaną;
I coś mi się zdaje, marzy,
Jak gdybym téj bladéj twarzy
Już od dawna nieoglądał,
Chociem ją widzieć tak żądał —
Taka blada — i stroskana —
Jéj włos czarny — całe ciało —
Cała jakby łzami zlana! —
Ach! czy ci się co nie stało? —
Lub jéj może z zeszłych dni
Coś się niemiłego śni;
Wszak co ci się może śnić,
Złem to niepowinno być;
Bo w sercu tego anioła
Zła myśl i powstać nie zdoła!
Może jéj zanucić spiew?
Nie — lecz oto z tych tu drzew
Przyniosę jéj kwiatów, liścia,

I z nich tobie mój aniele
Miękkie łóżeczko uścielę;
A ty wierny wietrze mój,
Cicho jak na straży stój,
I strzeż ją do mego przyjścia.
(odchodzi szybko).

Scena 8.

Hrabia.

Gdzie się ta postać podziała,
Która na tym brzegu była?
Koło czegoś się krzątała
I szybko się oddaliła.
(spostrzega ciało Matyldy).
Wielki Boże! wszak to ona!
(stoi chwilę w zamyśleniu, potém klęka).
Ciebież widzę mój aniele?
(załamuje ręce i po dość długiém milczeniu).
Spisz — — — o spij, a przespisz wiele,
Morze cię z swojego łona
Powróciło matce ziemi,
Aby twoje śliczne ciało,
Pastwą potwór się nie stało,
Byś nie znikła między niemi,
(co raz prędzéj).
By grób nas mógł jeden kryć,
Gdy niestanie mi już łez,
Gdy już raz przestanę żyć,
Gdy się skończy życia kres!

Scena 9.

Hrabia. Ulrych. *(z gałęzią zieloną).*

Ulrych.

Precz! — nie budź — to moja żona!

Hrabia. *(odwraca się).*

Kto śmie?

Ulrych.

Cicho! patrz jak ona
Spokojnie sobie usnęła.

Hrabia.

Ja czuwam — a ona spi
Teraz wszystko jasno mi, —
Za méj strasznéj zbrodni dzieła
Jest kara, któréj się boję,
I u mego kresu stoję.
(na stronie).
Poznaję go z mowy, z lica,
Którém na mnie patrzy mile,
Wszystko mi jasno wyświeca,
Iż to on — co cierpiał tyle.

Ulrych.

Nie wrażaj we mnie twe oko,
Taki wzrok rani głęboko.
(po krótkim namyśle).
Zdaje mi się jakby wprzódy
Biegliśmy z sobą w zawody,
Po co się darmo ukrywasz —
Powiedz mi, jak się nazywasz?

Hrabia. *(zasłania twarz rękami).*

Boże! gdzież się przed nim skryć.

Ulrych.

Musiałeś mi miłym być,
Bo gdy cię uważam ściśle,
To mi się zdajesz w umyśle,
Jak list pełen dobréj treści,
Który w sobie dla mnie mieści
Pozdrowienie przyjaciela,
Z którym przestrzeń nas rozdziela;
Lecz swe imię wymów raz.

Hrabia.

Mój Ulrychu.

Ulrych.

Tyś Holm pewnie!
Gdzieżeś był tak długi czas?
Za tobą, gdy cię nie było,
Często me serce tęskniło,
Witam cię szczerze — choć rzewnie!
I ona gdy się przebudzi
Ze snu — z podróży — ze znoju —
I ona poda ci ręce —
Czémże cię przyjmę naprędce?
Weź tę gałązkę pokoju!
(daje mu gałęź).
Jako znak zgody u ludzi,
Który twe życie ozłoci.

Hrabia.

Ty mi go dajesz Ulrychu?
O serce rzadkiéj dobroci,
Które zmysłów pomieszanie
Zniweczyć nie było wstanie!
Ty chcesz z księgi mego grzechu,

Precz wymazać imię moje?
By nie słyszał sędzia w niebie,
Którego się słusznie boję!
Ty mi na żony pogrzebie,
Podajesz ten zgody znak?
Mnie? który cię zdradził tak? —
Ha! więc mnie przebaczyć chciéj
W imię syna, w imię téj. — —
A teraz chodźmy do syna,
Aby go taka nowina
Nie zastała niespodzianie,
Gdy tak rodziców zastanie.
(odchodzi).

(Dokończenie nastąpi.)

Ci co się w urojeniach lub domysłach umiejętnych kochają, zajęli się teraz w Auglii teoryą geografa p. Augusta Petermann, zdaniem którego hieguny ziemi, północny i południowy, mają hyć strefą najłagodniejszego klimatu na świecie. P. Harrington zwolennik téj nauki wywodził temi czasy na posiedzeniu towarzystwa geograficznego w Londynie teoretyczne podobieństwo, że Franklin którego stratę opłakują, snadnie mógł się z okrętami swemi przebić pod biegun, i że tam swobodnie teraz przebywa pod słodkiém niehem; bo teorya dowodzi: jako pol magnesu za zhliżeniem do bieguna stęża wypływ elektryczności, za stężeniem elektryki jaką tu ziemia jest przesycona, musi się i atmosfora rozgrzéwać, więc też i oba bieguny ziemi w łagodnéj zostawać strefie. Podróżni w owych stronach często słyszeli trzaski; bez doświadczenia i pojęcia istoty rzeczy brali to za trzask pochodzący z łamiących się lodów; ale kto rzecz rozumie, pojmuje że to jest trzask towarzyszący wydohyciu się iskry elektrycznéj z osi ziemskiéj, za którą idzie ta światłość północna co statecznie w tamtych stronach przyświeca. Że Franklin ztamtąd wydostać się nie może, tłumaczy Harrington raz tém, że ogniste wybuchy elektryki mogą przeszkadzać, potém że zaporą do odwrotu musi być niezmierny pęd powietrza, bijącego w to miejsce ogrzane, bo tém samém gdzie atmosfera rozrzedzona, otwiéra się pęd wiatrom zimnym od południa. Franklin zamknięty wprawdzie, ale siedzi w miejscu ciepłém, pod strefą łagodną, dokąd także i zwierzęta północne uchodzą, gdy zima ostra pod niższemi stopniami zbyt im dokucza.

— (Łódź angielska.) Młodzi panowie z Hamburgskiego stowarzyszenia wioślarzy odbywają piękne i podziwienia godne przejazdzki na Alstrze i Elbie, ale takiéj sztuki, jak niżéj opisano, niedokazali przecież, i wolą nawet niepróbować jéj wcale. Dawne kroniki piszą o tém co następuje: W roku 1615 wydarzyła się ta osobliwość, że trzy osoby w małéj, otwartéj łodzi przepłynęły z Anglii do Hamburga. A że to Anglik we wszystkiém bywa dziwaczny, i nawet w swych zakładach chce się odszczególnić czémś osohliwszém, więc i ta szalona przejazdzka szła o zakład wynoszący kilka tysięcy talarów. Była-to otwarta łódź do 30 stóp długa, 2 łokcie széroka, a $^3/_4$ łokcia głęboka, bez masztu, żagli i steru, i każdy z trzech Anglików miał tylko jedno wiosło. I dobry Bóg patrzał wtedy cierpliwie na tę zuchwałą próżność, ochraniając ich od burz i słoty, od korsarzy i poczwar wodnych, tak że nim wyszła ich żywność, wysiedli cało i zdrowo na ląd przy gospodzie pod „Drzewem.“ Ale napowrót nie mieli już odwagi płynąć w téj samej łodzi, bo wypocząwszy do syta przez kilka tygodni i oglądnąwszy wszelkie osobliwości miasta, powrócili z powszechném podziwieniem dużym statkiem angielskim do domu, darowawszy wprzód swoją łódź z trzema wiosłami admiralicyi tego miasta, która postanowiła przechowywać ją na wieczną pamiątkę w swym arsenale i następującym opatrzyła napisem: „Chcę odpłynąć i moje życie i krew ważyć na to, ażeby uzyskać złoto, dostatek i sławne imię.“ W roku 1750 znajdowała się ta łódź w magazynie teraźniejszych koszar piechoty; ale gdzie się późniéj podziała, niepodobna się dowiedzieć.

Oto jest skala żywiołu strawnego w naszych pokarmach: w stu funtach grochu liczą 93 funtów tego co się trawi; w stu funtach chleba pszennego 80 funtów; w sztuce mięsa 35 funtów; winogron 27 funtów; moreli 26 funtów; kartofli 25 funtów; wiśni 25 funtów; hrzoskwiń 25 funtów; agrestu 19 funtów; jabłek 17 funtów; gruszek 16 funtów; daléj w 100 funtach marchwi 14 funtów; poziomek 13 funtów; jarmużu i rzepy 8 funtów; melonów 3 funty.

Pozłacane rzeczy jak odchędożyć: Ałunu i soli zwyczajnéj po jednéj uncyi, czyszczonéj saletry dwie uncye, wody kwaterkę. Mieszaninę pędzlikiem oprowadzać.

Co ci jest — czego się gniewasz? — Ah! Mam służącego który mi tak źle służy, jak-by ich było dwudziestu.

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.*